

RW2010

# ROMUALD PAWLAK



Rycerz  
bezkonny



**ROMUALD PAWLAK**  
**Z cyklu: RYCERZ BEZKONNY**

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012  
Redakcja techniczna zespół RW2010  
Copyright © Romuald Pawlak 2012  
Okładka Copyright © RW2010 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: [www.marketing@rw2010](mailto:www.marketing@rw2010)  
Zapraszamy do naszego serwisu: [www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

Utwór bezpłatny,  
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,  
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

*Zapewne nikt nie spodziewał się, jak brzemienne w skutki okaże się edykt rajców miasta Florencja wydany w roku pańskim 1322, a zakazujący pasowania zwłok. Kim byłby Fillegan z Wake, gdzie by zawędrował, gdyby nie uchwała florenckich rajców? Może szczelby w jakimś wykrocie? Pewne wydaje się, że to w murach Miasta Róż odwrócił się jego zły los...*

Hodia von Tutenberg, *Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata*

Śnił się Filleganowi prawdziwy koszmar. Niby nie należało podejrzewać w tym niczego dziwnego – na jawie zdarzają się bardziej paskudne historie. A jednak rycerz był przekonany, że to nie sen, lecz wizja. I to z gatunku zwiastujących przyszłość mroczną i odległą. Takich, co dopadały go nie częściej niż raz na parę miesięcy, zwykle po wielkim pijaństwie. Której to okoliczności nie doświadczał od ponad tygodnia, bo nie miał za co!

Cleuqi. Nazwa ta wypląnęła z pamięci, budząc dreszcz strachu i obrzydzenia. To tam pewien człowiek niegodnego imienia otworzy wrota Złu. Rozpęta się prawdziwe piekło, w którym rozum ustąpi przed szaleństwem, krowy przestaną dawać mleko, a Księżę Ciemności powoła swą armię, ludzi zamieniając w wilkołaki, harpije i talibany.

Albo i nie. Fillegan nie zamierzał sprawdzać, czy tak się stanie – choć prorocze wizje mogły być jedynie wynikiem potężnego kaca, tak na wszelki wypadek należało się od tego miejsca trzymać z daleka.

Wierząc się na sianie i przeciągając dla rozgrzania mięśni, rycerz zastanawiał się melancholijnie, czy Cleuqi to, złym trafem, nie owa cudowna akwitańska wieś, gdzie ubiegłego roku tak słodko barłoczył sobie z małoletnią Lucyndą. Niby nazwa inna, ale nowe miano przybrać można z dnia na dzień...

Westchnął ciężko: przyjdzie omijać ten wciąż piękniejący klejnot. A szkoda, bo cóż niewinne dziewczę mogło mieć wspólnego z tamtym idiotą, który zamiast uszanować porządek społeczny, będzie próbował go zburzyć? Fillegan z niesmakiem

skrzywił usta: cham na zawsze pozostanie chamem, choćby go w obecności samego króla pasować na rycerza.

Wspomnienie Lucyndy na słodką chwilę rozjaśniło mrok spowijający duszę mężczyzny. Zaraz jednak znów ogarnęły go ciemne barwy rzeczywistości. Nawet gdyby wyobraził sobie ciężki trzos złota we własnej dłoni, w niczym nie zmieniało to faktu, że w gospodzie nim nie zapłaci.

Krótko mówiąc, nasz bohater był splukany. Pozostawał chwilowo rycerzem zarówno bezkonny (Bucefał, jego wierny karus, padł, nie wytrzymałszy trudów rycerskiego żywota i kłód rzucanych pod kopyta), jak i bezdomny. Albowiem zamczysko w Wake razem z okolicznymi włościami dostało się w łapska Ayermine'owi, który to kupiec przejął majątek rodzinny za długi. Poczynione zresztą nie przez Fillegana, lecz jego ojca, który ubrał sobie zyski z hodowli wielbłądów i na ten cel wziął od Ayermine'a wielkie kredyty. Lecz (jak powszechnie wiadomo) wielbłąd to bydlę uparte, złośliwe i do ujeżdżania słabo się nadające, do walki zaś – o czym marzył rodzic naszego rycerza – przyuczyć się go nikomu nie udało. Zyski więc nigdy się nie pojawiły, a na łożu śmierci ojciec przekazał w spadku Filleganowi jedynie bezkresne niebo nad głową oraz ostatnią mądrość życiową, ledwie pół słowa wypowiedzianego w chwili śmierci.

„Kur...”, tak się zaczynała owa esencja życiowego doświadczenia. Do tej pory nie udało się Filleganowi rozszyfrować jej ostatecznego sensu. „Kursy walut znaj”? „Kurdupel z ciebie”? „Kurdiuki hoduj”? Pozostawało to podobnie wielką tajemnicą, jak cel, w jakim opatrność rzucała go tu i tam, pozornie zupełnie bez celu, zawsze jednak w porę, w najgorszej godzinie, dając jakiś ochłap do jedzenia i kąpiel do spania. Miał więc przekonanie, że życie jego ma sens, choć dotąd nieodgadniony.

Z trudem wrócił do rzeczywistości. Stodoła z sianem, do której dostęp wczorajszego wieczoru musiał sobie wyrąbywać mieczem pośród natrętnego chłopstwa, okazała się miejscem mało gościnnym. Dach przeciekał, w nocnej porze

coraz to rzeźwiły Fillegana z głębokiego snu lodowate fontanny. Przez szpary w ścianach ziab swobodnie docierał do wnętrza stodoły, kásając mdłe ciało rycerza. A szcurów i myszy, ubitych przed snem, uzbierało się na pryzmę wysoką do pól uda.

Stękał więc teraz, pokonując kurcze i zbierając porzucony dobytek oraz odzienie. Wreszcie narzucił na grzbiet lichą, rzadko plecioną kolczą tunikę, na to opończę, i tak okryty po czubek nosa, wyszedł na dwór, powitać nowy dzień.

Gospodarz, rosłe chłopisko okutane w szmaty koloru rozkładającej się myszy, wciąż mókł na zewnątrz z widłami w ręku, niemal dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej wczoraj pozostawił go Fillegan. Na widok wychodzącego ocknął się z niespokojnego snu, widły zakreśliły niewielki łuk w powietrzu.

– Nie, dobry gospodarzu – rzekł rycerz, niedbale salutując mu mieczem – nie mam dziś ochoty na poranne ćwiczenia.

I pozostawiając skonsternowanego chłopca własnemu losowi, podążył w stronę traktu wiodącego ku Florencji. Opuścił go wczorajszego wieczoru w poszukiwaniu darmowego noclegu, pora była jednak powrócić na właściwą drogę. Albowiem to właśnie w Mieście Róż mającącym na horyzoncie pewien kupiec, Carcassian, postanowił, wzorem świętego Franciszka z Asyżu, rozdać część swego majątku biednym. W szczególności zaś – Filleganowi. Należało się zatem z tym zacnym człowiekiem spotkać, nim się rozmyśli albo popełni jakiś inny, niewybaczalny błąd, na przykład sakiewkę przeznaczając na intencję walki z niewiernymi.

Jakby na potwierdzenie prawa Fillegana do odrobiny szczęścia przestało padać i zza chmur wyjrzało słońce.

\* \* \*

**T**rakt, którym podążał, wiódł do dzielnicy raczej biednej, gdzie dominowali marni tkacze i farbiarze, wszystko najniższego sortu. A jeszcze wymieszane to było z piekarstwem najgorszego autoramentu, z gatunku takich, co to do mąki dokładają mielonej słomy, trocin i suszonego tataraku. San Spirito zamieszkiwali głównie

robotnicy zatrudnieni w tych podłych manufakturach i próżno by tu szukać jakiejś elegancji czy świetności.

Serce Florencji, miasta artystów, kupców handlujących z całym światem i książąt Kościoła, było po drugiej stronie rzeki. By się do niej dostać, trzeba by jednym z trzech majestatycznych mostów przekroczyć Arno.

Tam jednak zmierzaj, kędy sakiewka twoja w nabitą kabzę się przemieni. Rycerz pokornie maszerował niemal pustym traktem w stronę tej marności nad marnościami. Raz czy dwa wyprzedziły go wozy, na które nie udało mu się zabrać, on z kolei prześcignął pielgrzymów poruszających się niczym energiczny ślimak. Ich kostury mlaskały w koleinach rozmokłego traktu niby mieszała w dzieżach z ciastem na chleb.

Starając się wędrować nieco suchszym i bezpieczniejszym skrajem drogi, Fillegan zastanawiał się, kogo, za ile (bowiem kwota obiecywana nie zawsze pokrywała się z wypłaconą, jak nauczyło go życie) oraz – pardon – w jakiej konsystencji przyjdzie mu pasować delikwenta tym razem. To bowiem różnie bywało. Czasem świeżo pasowany rycerz dosłownie wprost rozpływał się ze szczęścia.

Ostatnimi czasy interesy szły raczej kiepsko. Zdarzały się, owszem, chwile tłuste, ale najczęściej rycerz głodował i sypiał pod drzewem albo w jakimś zakamarku pośród skrzyń z towarem. Stąd i ta Florencja, ku której zmierzał wytrwale, choć nie bez przeszkód, miała być wybawieniem po chudych tygodniach spędzonych w Pistoii.

„Ach, Bucefale, karusie ty mój – rozmyślał Fillegan, miarowo stawiając kroki – gdybyś doczekał tej chwili...”

Niestety, to właśnie w drodze do Florencji wierzchowiec ostatecznie odmówił dalszej egzystencji na tym łez padole. Kto wie, może było to z jego strony ostateczne poświęcenie wobec swego pana? Ten jednak nie zdołał go docenić. Mówiąc wprost,

konina wydawała mu się zbyt słodka. Wziął więc tylko podkowę na szczęście i pomaszerował dalej, w nieznany, okrutny świat.

Toskania słynie z łagodnych, lesistych pagórków, pośród których wiją się drogi tej krainy mlekiem i miodem płynącej. I kiedy trakt wiodący do Florencji zakręcił wokół jednego z takich wzniesień, może nieco bardziej imponującego od pozostałych, rozsianych gęsto po okolicy, zwieńczonego odsłoniętą, białą lśniącą w słońcu skałą porozszczepianą niby korona, Fillegan poczuł nieprzepartą ochotę ułożenia kilku strof wiersza na cześć złotych florenów czekających na końcu tej drogi.

Zebrał już nawet pierwsze słowa w myśli, ze dwa razy w czasie tej poetyckiej ekstazy potykając się o wystające kamienie, kiedy zniemacka, na dziesięć kroków przed nim, wyskoczyło z leśnej gęstwiny czterech zbójców z kijami i sztyletami w rękę. Rycerz zaklął szpetnie i odwrócił się w pośpiechu... Niestety, drogę ewentualnej ucieczki odcinało mu dwóch innych rabusiów. A pielgrzymi dotrą tu pewnie o zmierzchu, w samą porę, żeby zmówić modlitwę za jego udręczoną duszę, choć bardziej by się Filleganowi przydały ich solidne kostury.

– Dawaj sakiewkę – zażądał herszt bandy, występując o krok przed swoich ludzi i wyciągając rękę w stronę swej potencjalnej ofiary. Jego twarz, przecięta szkaradną blizną zbiegającą od prawego ucha (którego nie posiadał), przez policzek, ku kącikowi ust, kazała odrzucić nadzieję na łagodną naturę i usposobienie skłonne do negocjacji. – Oddasz grzecznie, ujdiesz z życiem. Nie pójdzie po dobrowoli, obedrzemy trupa. No?

Być może, gdyby Fillegan miał przy sobie jakąś marną sakiewczyńkę, to by ją i oddał w imię świętego spokoju i dla wspomnienia ubogich. A tak, cóż... Jakoś nie ufał swemu darowi przekonywania. Bo i któż rozumny by uwierzył, że rycerz poza mieczem ma tylko to, co nosi na grzbiecie? Zresztą miecz, jego narzędzie pracy, też mogli mu odebrać... i czym by wtedy pasował? Brzezinową różdżką?

Na szczęście, poza odebraniem mu lub nieodebraniem nieistniejącej sakiewki – co rodziło zresztą fascynujące sprzeczności logiczno-teologiczno-jurysdycznej natury – istniała trzecia możliwość. Swego czasu jedna z tych wizji, napadających Fillegana niby febra w wilgotną pogodę, zaprowadziła go na jakieś całkiem heretyckie ziemie, gdzie mnisi, zamiast w zgodzie z prawem bożym modlić się, wyrabiać ser, uprawiać winnice albo chociaż poczciwe żyto, robili...

– Uii aaa uh! – Energicznym ruchem wbił miecz w ziemię przed sobą i uwolnione dłonie złożył gestem zapamiętanym u jednego z tych bezbożnych mnichów. Następnie rozsunał je powoli, kończąc wszystko jeszcze jednym głośnym okrzykiem.

Zbóje popatrzyli na siebie niepewnie. Gdzieś ponad głowami ludzi zaświergolił ptak, głośnym cuk, cuk obwieszczając *urbi et orbi*, że on też ma tu coś do powiedzenia.

– E, no co ty? – z wahaniem odezwał się herszt bandy. Rozejrzał się, czy krzaki nie ściągnęły jakichś ciekawskich, ale ku utrapieniu Fillegana trakt wciąż pozostawał pusty. – Walcz jak człowiek, dobra?

W odpowiedzi rycerz spojrział na niego z niesmakiem, wsparł dłonie na rękojeści miecza i... wyskoczył w powietrze! Niezbyt wysoko, bo jego wrodzona ciężkość zaraz ściągnęła go z powrotem na ziemię, ale sztuczka, kolejna z podpatrzonych u mnichów-heretyków, wywarła na zbójach stosowne wrażenie. Widać nie zetknęli się dotąd z takim stylem walki.

– Jam jest Fillegan z Wake, mag ponadczasowy, artysta-wizjoner i kat na heretyków, choć tonsury nie noszę – obwieścił możliwie najbardziej pewnym siebie głosem, starając się przy okazji nadać mu lekko grobowy ton. – Jakoż sybaryta i poliglota, ale tego pewnie nie zrozumiecie.

Jakoż i faktycznie nie zrozumieli. Z ich min można było wyczytać, że z całej tej płomienistej tyrady wyłowili jedynie słowo: „mag”.



– Za to, przyjaciele, wszyscy w lot pojmiecie – ciągnął Fillegan, podnosząc głos, żeby mogli go dobrze usłyszeć – że zamienię was w zwierzęta, jak się stąd zaraz nie wyniesiecie. Konkretnie – w wielbłądy. Macie pojęcie, jaka to straszna bestia, taki wielbłąd?

Zbóje ze strachem patrzyli na swego herszta. Być może nie bardzo wiedzieli, co to jest wielbłąd, ale z pewnością dużo słyszeli na temat czarów zamieniających w słup soli, oślizgłą ropuchę, kulawego psa albo miejskiego głupka gadającego od rzeczy.

Herszt długą chwilę przyglądał się wspartemu o miecz mężczyźnie. Wreszcie splunął na ziemię.

– My, prości zbóje, z czarownikami nie zadzieramy – rzekł ze złością podszytą lękiem. – Idź swoją drogą, nam też pozwól odejść i rabować zwykłych ludzi.

Rycerz postukał mieczem o cholewę buta, popatrzył na rzezimieszków, jakby chciał zapamiętać ich twarze. Odwracali głowy, ukradkiem czyniąc znak krzyża albo inne gesty mające odpędzić urok.

– To idę – odparł wreszcie. – Ale dobrze radzę, niech na tej drodze wasza noga więcej nie postanie.

Jakoś musiał przecież wrócić do Pistoii, prawda?

Zbóje skupili się w jednym miejscu, a kiedy Fillegan zrobił kilka kroków, już za jego plecami zaszleściły krzaki – rozplynęli się w lesie. Tylko energiczne „cuk, cuk” mieszające się z przekleństwami dowodziły, że Toskania to piękne miejsce do życia i układania namiętnych poezji.

– Ufff! – Fillegan wytchnął powietrze z płuc. – Kiedyś ubiją, jak amen w pacierzu...

Następnych kilkadziesiąt kroków w stronę sakiewki pełnej florenów poświęcił na przypomnienie sobie początku tego poematu w stu pieśniach i finalnym piętnastowersowym sonecie na dokładkę, który układał, zanim napadli go zbóje.

Lecz szczęście do przygód nie opuszczało go tego rześkiego poranka. W krzakach na skraju drogi ponownie zaszeleściło, budząc w duszy poetycko rozmarzonego Fillegana czterech jeźdźców Strachu. Uniósł miecz... i opuścił go zaraz, bowiem z gąszczy wyjrzał młody chłopak, niewyglądający na zbója, raczej na niemotę kryjącą się w chaszczach przed rzezimieszkami. Nie miał chyba więcej niż szesnaście lat, w jego ruchach wciąż widać było pewną niezgrabność.

– Wyście są naprawdę Fillegan z Wake, panie? – spytało chłopię. Widząc potakujące skiniecie głową, młodzik całkiem wylazł na trakt, po drodze otrzepując się z liści.

– Czekałem na was, panie, ale ci zbóje, niech ich zaraza... Naprawdę jesteście magiem? – gadał z przejęciem, wytrząsając z czarnej czupryny liście i gałązki. – Bo kupiec Carcassian kazał wypatrywać rycerza, a wy, panie, wybaczenie śmiałość, na rycerza nie zanadto, a i na maga także nie wyglądacie... i gdyby nie tak niezwykle odparcie napaści, pewnie bym i przegapił...

Fillegan opanował cisnący mu się na usta szereg przekleństw w różnych językach.

– Rycerzem, magiem, artystą, inkwizytorem jestem – rzekł gniewnie – a za chwilę wymierzę ci kopniaka, durniu, więc pewnie jeszcze i nieposkromionym gwałtownikiem. Czy kupiec Carcassian kazał ci straszyć i obrażać wszystkich podróżników zmierzających do tego wspaniałego miasta, czy tylko szlachetnych rycerzy chcących ulżyć cierpieniu niespokojnych dusz?

W odpowiedzi młodzik zrobił dwa kroki w tył, na skraj traktu, prawie w to samo miejsce, z którego wyłonił się chwilę wcześniej. Fillegan westchnął z rezygnacją.

– Jak cię wołają?

– Duendain, panie. – Dwornie skłonił się chłopak, z ulgą pojmując, że nieznajomy nie zamierza ćwiczyć na nim czarnoksięskich praktyk. – Ale już

niedługo. Mam zamiar jeszcze przed trzydziestką zostać mości Duendainem Capodimonte, szanowanym obywatelem Republiki Florenckiej, otoczonym żonką, wiankiem dzieci i cudem odnalezionych przyjaciół. Dopraszających się wsparcia lub pożyczki. – Duendain uśmiechnął się krzywo. – Bo to wiecie, panie rycerzu, nic tak nie odświeża pamięci przyjaciół jak widok pękatej sakiewki.

Fillegan uśmiechnął się z lekką aprobatą i ruszył w stronę miasta. Chłopak, trzymając się przezornie dwa kroki z tyłu, podążał za nim.

Naraz jednak Fillegan zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, niemal wpadając na Duendaina.

– A czy ten Carcassian, którego mam pasować, to nie Żyd aby? Bo ja Żyda na rycerza pasować nie będę!

Młodzieniec cofał się przed nim, nie zważając, że wchodzi w cuchnącą kałużę. W jego oczach pojawił się strach, jakby zobaczył przed sobą Dominika Guzmana we własnej osobie.

– Florentczyk z dziada pradziada, pobożny, że drugiego takiego ze świecą próżno by szukać. Tyle że lichwiarz – mówił szybko, połykając końcówki słów. – A wiadomo: Żydom lichwa dozwolona, nasi zaś w ukryciu muszą, bo to niechrześcijańskie i Kościół przecie zakazuje... Niepotrzebnie się, panie, żołądkujecie.

Fillegan odetchnął z ulgą.

– Tak samo mówił ten Montepaschi, ale mnie już nieraz próbowano oszukać. Ja tam do żydowskiej nacji nic nie mam, ale... wyobrażasz sobie rycerza w jarmułce?

Chłopak parsknął śmiechem. Zaraz jednak spoważniał.

– Wy, panie, zadaliście już swoje pytanie... – zaczął. – A i ja chciałbym zapytać, czy...

Rycerz wznosił oczy do nieba. Jakby w odpowiedzi, jakaś chmura przesłoniła słońce. Stanowczo niebiosy zbyt często dawały mu znaki.

– Pytaj, ale krótko, bo cię mieczem pomacam! Za gadanie mi nie płacicie.

– Zbójcom mówiliście, żeście mag-wizjoner – zaczął Duendain. – To czemu, panie, nie przewidzieliście, że oni będą tam stali i nie ominęliście ich?

Fillegan oparł miecz na ramieniu i szybciej ruszył traktem w stronę miasta, zmuszając swego młodego towarzysza do energiczniejszego stawiania kroków. Lecz jego nadzieje, że Duendain skupi się na marszu, okazały się płonne. Chłopak całym swoim zachowaniem okazywał, że milczenie rycerza uważa za niesprawiedliwe. Wzdychał przy tym, jakby od rozstrzygnięcia tej kwestii zależało czyjeś życie.

Wreszcie Fillegan miał dość.

– Po pierwsze, powiedziałem: mag ponadczasowy i artysta-wizjoner – uściślił, przystając, aby zrównać krok z Duendainem. – A po drugie, gdyby wszystko chcieć przewidzieć, świat byłby nudny. Moje wizje zwykle sięgają daleko w przyszłość, nie na dwa pacierze do przodu. Im dalej, tym wyraźniej. Jeszcze nie sprawdzałem, czy mi sumiennie zapłacicie, ale mam nadzieję...

Duendain spieszył się nieco. Zapewne nie takiego biegu rozmowy oczekiwał. Miał przed sobą człowieka, jak mniemał, bywałego w świecie – i o ten świat zamierzał pytać, tymczasem w gruncie rzeczy to ów obcy przepytywał go bezlitośnie.

– Panie – zauważył wreszcie – to nie ja będę ci płacić, tylko kupiec Carcassian.

Fillegan przewrócił oczyma.

– Jezu Chryste, ja tu mówię, że sakiewka lub dwie trafią do mojej kieszeni, a ty, chłopcze, domagasz się prawniczej precyzji.

– Bo ja, panie, jestem tylko przewodnikiem – Duendain spojrzał w stronę coraz bliższych murów miejskich i wystających ponad nie kościelnych wież. – Płacić, wyjaśniać i podejmować was honorami to będzie Carcassian.

– Dobra, pojmuję – rycerz skinął głową. – Ale jak coś nie wypali i tak zjem cię żywcem. – Spojrzał groźnie na chłopaka.

Ten tylko wzruszył ramionami.



– O wa – mruknął – jak coś nie wypali, to ja sam zjem się żywcem, bo mnie Carcassian na zbity pysk wywali, kopniakiem w rzyć na do widzenia częstując. Wy, panie rycerzu, zrobicie swoje i pójdziecie w świat, a ja muszę z nim mieszkać i pracować dla niego, bo mnie rodzice samego ostawili na tym świecie. Już bym wołał czasem umartwiać się w augustiańskim klasztorze nad przepiórką w sosie truflowym, niż obcować z tym... tym... kupcem! – Duendain w ostatniej chwili ugryzł się w język, tnąc ostre słowo na końcu języka.

Rycerz spojrział na niego z nieco większą sympatią. Odkąd Ayermine przejął Wake za długi, Fillegan nabrał utajonej niechęci do kupieckiego plemienia, choć zarabiał, korzystając z jego pychy i próżności. Zaprzysiął sobie, że kiedyś Ayermine'owi odpłaci, choć nieubłagane fakty były takie, że na razie przekroczył Kanał, aby tu, na kontynentalnej ziemi, z dala od sromoty, szukać chleba. I zarabiał od paru lat, chwytając się wszelakich metod. Nadawanie szlachectwa umarłym wcale nie było najbardziej obrzydliwą spośród nich. A niechęć do kupców rosła.

Tymczasem wstęga traktu doprowadziła ich wreszcie do zajazdu, szerokiej, przysadzistej chałupy, przed którą tłoczyły się wozy i ludzie.

– Dalej to już wszystko w rękach kupca Carcassiana – odetchnął z ulgą Duendain.

Fillegan jednak miał przeczucie, że chłopak się myli. Ale nie podzielił się tą myślą, bo nie chciał zostać obdarzony jeszcze jednym przydomkiem: „ponury”.

\* \* \*

Carcassian czekał na nich w głównej sali, popijając rozwodnione wino i skubiąc plaster sera. Siedział samotnie przy jednym ze stołów, leniwym spojrzeniem wodząc po klienteli tej nieco szemranej przydrożnej gospody.

Już na pierwszy rzut oka ten wspólnik w ryzykownym interesie okazał się kupcem z krwi i kości. A nawet bardziej chyba z tego drugiego, bo wbrew

obiegowemu wizerunkowi spasionego kupca, Carcassian był wysoki, żyłasty i kościsty. Pociągłą twarz miał gładko wygoloną, wzrok bystry, a gesty zdecydowane, gdy wstawał, aby powitać rycerza.

– Nie tak mi was opisywał signiore Montepaschi – rzekł cierpko, gdy Fillegan zbliżył się na wyciągnięcie ręki. – Postura i rysopis niby te same, ale gdzie ten blask świetlisty otaczający niby aureola? Gdzie strój pyszny, zbroja wyszmelcowana, wierzchowiec niby tur krzepki? Coś za dużo na was przydrożnego kurzu, panie, jak na znamienitego rycerza. Orszaku też jakoś nie dostrzegam – zakończył kwaśno, dowodząc, że wino zagryzane kęsami mozzarelli miał łagodzić, tylko wzmacnia surowość obyczaju.

Fillegan z irytacją przygryzł wargę. „Zaraz tu dojdzie do dantejskich scen” – pomyślał.

– Mam nadzieję, że przynajmniej podczas rozmowy o pieniądzech szacowny kupiec Montepaschi nie popadał w poetyckie uniesienia – odparł uszczypliwie, siadając naprzeciw Carcassiana. – Spróbowałby tak jeden z drugim pojeździć w pełnej zbroi, to by nie gadał o stroju pysznym, tylko skupił myśli, jak tu bezpiecznie z tego tura zejść i rozdziać się z żelaznego kaftana. Krótko mówiąc, nie moja wina, że waszego znajomego imaginacja poniosła. Ja tu nie do bitwy, tylko do interesu mam podobno przystąpić.

Kupiec gestem odesłał w diabły Duendaina, rozejrzał się po sali, czy ktoś nie podsłuchuje. Nie było jednak komu nadstawiać ucha, bowiem tych kilku podróźnych, którzy zajmowali przeciwległy kąt sali, licytowało między sobą, kto pierwszy pójdzie z młodą szynkareczką na górę. Ta czekała cierpliwie, kusząc stopniowo odsłanianymi wdziękami, a szynkarz, niespecjalnie widać zainteresowany rozmową sukiennika z mocno zakurczonym podróźnym, czuwał nad powodzeniem bardziej intratnego interesu.

– Zatem, w zaufaniu poznawszy sprawę od Montepaschiego, przystajecie, panie, na udział w tym przedsięwzięciu? – spytał półgłosem Carcassian.

Rycerz nachylił się ku kupcowi, sięgając jednocześnie po kawałek sera.

– Postanowiłem was wydać za podwójną stawkę – szepnął. I włożył ser do ust.

Carcassian stęzał nagle niby karp w galarecie. Gdzieś zniknęła jego pewność siebie i lekceważenie wszystkich spoza cechu, magistratu i biskupiego pałacu.

– Żartowałem przecież. – Fillegan przełknął ser i uśmiechnął się szeroko. – Obaj byśmy na tym stracili, panie kupiec. Ja też dalej chciałbym głowę nosić na karku, a nie pod pachą. Ale więcej szacunku by się przydało.

Planował uwinąć się w trymiga, floreny wziąć i czym prędzej opuścić miasto. Pistoia może nie tak wielka, nie tak świetna, ale tam zajęcie, którym się trudnił, przynajmniej legalne, do lochu nie wsadzą. Gdyby nie wysokość zapłaty, nigdy by tu nie trafił. A że ogólnie ostatnimi czasy italijskie klimaty zrobiły się niezdrowe, Fillegan zamierzał osierocić te ziemie, powędrować do Lyonu, Paryża czy nawiedzić alemańskie okolice.

Carcassian położył dłoń na szorstkim blacie stołu. Drżała.

– No, to sobie pożartowaliśmy, signiore Fillegan, a teraz chciałbym obejrzeć wasze papiery – rzekł szorstko, z urazą w głosie. – Wierzę, rzecz jasna, że Montepaschi dobrego człowieka wybrał, ale przekonać się wolę samemu.

Rycerz uśmiechnął się krzywo i sięgnął do podróżnej sakwy.

– A proszę. – Wyłożył dokumenty na stół. Z ironicznym uśmieszkiem przyglądał się skupieniu, z jakim Carcassian zaczął studiować dokumenty.

Oczywiście nie były to autentyki. Te spoczywały na dnie Kanału, niedaleko normandzkich plaż, razem ze statkiem, którym przeprowiał się na kontynent. Ale podrobione zostały nienagannie. Mnich-falszerz użył nawet robaków i odstanej kociej uryny, aby nadać im pozór starości. Wrażenie było piorunujące – i Fillegan zachował brata Acsona z Melku w życzliwej pamięci.

W dłoni kupca pojawił się naraz zaokrąglony kawałek szkła. Szkiełko i oko skupiły się na dolnej, najbardziej zniszczonej części większego z pergaminów. Fillegan skorzystał tymczasem ze sposobności, że handel żywym towarem w drugim końcu sali dobiegł końca i na koszt kupca, który tylko machinalnym skinieniem głowy potwierdził transakcję, zamówił u szynkarza, który z konieczności sam wziął się do usługiwania gościom, miskę mięsiwa w rosole. Ledwie jedzenie pojawiło się na stole, rycerz przystąpił do niszczącego dzieła, z rozkoszą oblizując palce z tłuszczyny.

Wreszcie skończyło się i jadło, i studia Carcassiana.

– Mam wątpliwości. – Kupiec podniósł zmęczony wzrok.

„Zabiję knociarza – jęknął w duchu Fillegan, odsuwając pustą miskę na skraj stołu. – Własne księgi każę pisać, zamiast fałszować cudze pergamina!”

– Mam wątpliwości – ciągnął dalej sukiennik – czy zaiste reprezentujecie, panie, tak świetny ród, jak by sobie tego życzył mój ojciec. Nie tylko nie dostrzegam tu karolińskich korzeni, ale nawet z angielskimi królami jesteście, panie, skojarzeni w stopniu bardzo odległym... by nie rzec, żadnym.

Fillegan westchnął przeciągle. To samo powiedział mu Acson, kiedy proponował rycerzowi wzmocnienie fundamentów rodu. Wstał i sięgnął po dokumenty.

– Do widzenia, mości kupcze – rzekł, zwijając pergaminy w ciasny rulon.

– Zaraz, no zaraz, na kulawego Merkuriusza – ten powstrzymał go szybko. – Na targu się, panie, nie znacie?

Rycerz włożył dokumenty do sakwy.

– Umówieni byliśmy na dwadzieścia pięć florenów.

Carcassian tylko westchnął na tak jawne lekceważenie reguł wolnego rynku. Wreszcie zrezygnowany skinął głową.

– Widzę, że jesteście gotowi, panie, no to chodźmy. Miejmy to już za sobą.



Rycerz po wyżerce czuł się błogo rozleniwiony, nie chciało mu się już nigdzie chodzić, raczej wzorem rzymskich patrycjuszy ległby teraz na jakimś łożu i trawił, dumając nad obrotami sfer niebieskich. Niestety, kupiec nerwowo przestępował z nogi na nogę. No i nabawię się niestrawności, pomyślał Fillegan, podążając za nim w stronę wyjścia.

Tymczasem cudownym zrządzeniem opatrności odnalazł się Duendain. Z mocno zafrasowaną miną wyminął swego pryncypała i zmierzał w stronę rycerza, otwierając usta jak ryba. Już miał coś rzec, nachylając się ku niemu, gdy do porządku przywołał go kułak Carcassiana. Kupiec złapał chłopca za ubranie i wypchnął przed siebie, sycząc obelgi pod nosem.

Wreszcie wszyscy znaleźli się przed gospodą.

Powodem, dla którego Duendain niby szczur próbował uciec w jakąś ciemną norę, było pięciu mężczyzn w dość gwałtownym tonie sprzeczących się z woźnicą, który siedział na koźle wielkiego wehikułu pełnego beczek z winem. Jeden z nich, przewodzący w sporze, miał na twarzy szkaradną bliznę ciągnącą się przez cały policzek. Co chwila uderzał dłonią w bok wozu, podkreślając w ten sposób wagę używanych argumentów.

Fillegan uśmiechnął się okrutnie, w jego oczach załśniła mściwa satysfakcja. Wciąż pozostawał niezauważony przez rozgorączkowanych zbójów – i postanowił to zmienić. Wyjął miecz z pochwy i podszedł na trzy kroki do wozu.

– A witam, witam – rzekł ciepło. – Humory dopisują? Dyskusja bardzo żywa, jak widzę, może się włączyć na chwilę? Fillegan z Wake, do usług.

Woźnica spojrzał na niego i otworzył usta niby jakiś wiejski głupek, do cna otumaniony. Rycerz uniósł tymczasem rękę do czoła, jakby chciał się podrapać... i reszta interlokutorów w pośpiechu, przeszkadzając sobie wzajemnie, zapragnęła poszukać mocniejszych argumentów w pobliskim lesie. Na czoło stawki natychmiast wysforował się biegacz ze szramą.

Carcassian razem ze swoim pomocnikiem przyglądali się tej scenie w osłupieniu.

– No, panie kupiec, coście tacy zaskoczeni? – z krzywym uśmiechem spytał Fillegan, wracając do nich. – Czyż nie wspominałem, że prawdziwa bestia retoryczna ze mnie?

Duendain pierwszy się opanował. W przeciwieństwie do kupca rozumiał, co się naprawdę wydarzyło. Albo przynajmniej tak uważał.

– Więc jednak jesteś magiem, panie? – rzekł z podziwem. – Pogoniłeś ich, gdzie pieprz rośnie...

Rycerz uśmiechnął się półgębkiem.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, chłopcze. Czego nie wiesz, to i nie wyśpiewasz inkwizycji, prawda? – dodał z wilczym uśmiechem.

Carcassian patrzył na Fillegana w zadumie, coś w sobie ważąc.

– Bandyctwo samo tu rośnie, panie rycerzu – stwierdził wreszcie. – Jak za długo postoiemy, to nie starczy nas do wyplewienia zielska. Lepiej idźmy stąd jak najprędzej.

\* \* \*

**B**rama w trzecich murach, pod którą podprowadził ich Carcassian, była niewielka i zrujnowana, bo kto by rozbudowywał albo choćby tylko odnawiał mury i strażnice w biednej, nieważnej dzielnicy, w kwartałach pospólstwa przylegających do rzeki, cuchnących i zaniedbanych. A niechby i jaki najeźdźca domy sobie wziął i podpalił albo zburzył, a proszę bardzo, na zdrowie, mniej by było chamstwa, a wyczyszczone z biedoty i ich byle jakich domostw i manufaktur ziemie na nowo by się zagospodarowało, może i z większym niż dotąd pożytkiem. Co innego dzielnice po drugiej stronie Arno, gdzie mieszkali patrycjusze i wszyscy porządni obywatele Republiki. Tam mury były remontowane, pieniędzy nie brakowało.

Nic więc dziwnego, że obaj strażnicy lenili się, wystawiając twarze ku słońcu. Opowiadając sobie sprośne kawały, zaniedbywali służbę jak zwykle. Czasem ktoś przeszedł, zapłaciwszy myto, czasem puścili bez opłaty albo zamiast do skrzynki, pieniądze schowali do sakiewki. Te wielkomiejskie obyczaje Fillegan doskonale rozumiał, bo we wszystkich miastach istniały beznadziejnie marne dzielnice (a prawdę mówiąc, zwykle było ich więcej niż tych dobrych), i na własnej skórze miał okazję poznać słabości tych miejsc i ludzi, tam głównie spędzając czas. Kiedyś, gdy już Wake stanie się sławnym na cały świat miastem, zaklinał się w marzeniach, ludzi nie będzie się wpuszczać wcale, zanim nie znajdzie nieprzekupnych strażników. Bo to, że będzie tam panem i władcą, nie podlegało dyskusji w tych planach.

Na widok Carcassiana strażnicy ożywili się lekko.

– No i jak, polepszyło się ojcu? – spytał życzliwie jeden z nich, z troską spoglądając na kościstego mężczyznę. Duendain natychmiast jął podrygiwać, wstrząsany wewnętrznym, tłumionym chichotem, póki Carcassian nie spojrzał na niego tak, że chłopak zakrztusił się, niemal na śmierć dławiąc śliną.

– Wciąż bez zmian, mości Papageno. Ani się pogorszyło, ani poprawiło – kupiec zrobił zafrasowaną minę – ale widzi mi się, że jak nie ma spodziewanej poprawy, to mimo tych wszystkich proszków, upuszczeń krwi oraz modlitw u świętego Merkurego Bóg jednak zechce go wkrótce powołać do swego kupieckiego cechu.

Wewnątrz trzeciego – ostatniego, licząc od środka – kręgu murów zabudowa była gęstsza niż poza murami, gdzie tylko z rzadka stały jakieś chałupy. Gęstsza nie znaczy jednak równa i prawdziwie miejska, jak choćby w Paryżu. W dali widać było kwartały domów, tu jednak, gdzie stali, kozy szczypały trawę, której wcześniej nie wyjadły krowy. Fillegan z trudem odpędził myśl, że lepsze podgrodzie to ma nawet Wake, jeżeli tylko Ayermine nie dokonał tam rewolucji. Bo może zamkowe lochy przerobił na magazyny, a ludzi rozpedził na cztery wiatry?

Carcassian w milczeniu zmierzał w stronę najbliższego kwartału domów. Może i straszły gdzieś szramami po odłupanych ceglach, może i wierzeje były tylko w niektórych oknach, ale wreszcie przypominało to miasto. Może nie Florencję, nawet nie St. Denis, raczej podrzędne Pinetoux. Ale zawsze – miasto. Choć z drugiej strony nieco Filleganowi mina zrzęda, gdy pojął, że nie obierają kierunku na którąś z licznych kościelnych wież, co mogło znaczyć tylko jedno: nie zmierzają w stronę żadnego pobliskiego cmentarza, jak to zwykle bywało. Wizja pełnej sakiewki skłaniała go jednak do podążania za Carcassianem, nawet gdyby kupiec prowadził go wprost w odwiedzin u szatana. Zresztą, gdyby ten zechciał zostać z jego poręki szlachcicem, płacąc florenami, uprzejmie proszę, myślał rycerz. Może i w piekle szlachectwo jest w cenie? Koncept ten zdawał się prowadzić wprost na stos dla heretyków, ale mimo to wydał mu się dosyć zabawny.

Tymczasem weszli w jedną z ciasnych uliczek, potem w drugą, trzecią, wreszcie Fillegan całkiem się pogubił w tej plątaninie. Nieuważnym spojrzeniem błędził po ścianach i okiennicach domów przypominających kwadratowe, przysadziste wieże, aż naraz jego spojrzenie zatrzymało się gwałtownie. To samo zrobiło jego ciało, ale rycerz stracił nad nim panowanie, uwięziony spojrzeniem w jednym punkcie.

Nie miała chyba jeszcze piętnastu lat, wyglądała na dziewczę młode i niedoświadczone, a także – zamknięte w klatce, wyglądające wolności przez to wąskie okienko w grubych murach. Patrzyła na niego, uśmiechając się smutno. Jej ciemne oczy zdawały się pochłaniać całe światło, niby jakaś fascynująca czeluść... Skądś nadpłynęło imię Beatrycze, niepodzielnie opanowując umysł rycerza. Już w myślach dźwigał kopię, by skruszyć mury wieży, już spinał konia do boju niby święty Jerzy...

W ostatniej chwili kupiec mocno go szarpnął, ściągając niemal na mur, poza trajektorie trzech turkoczających wozów, które przemknęły obok niczym ekskomunikowane demony i pognały dalej.



– Uważajcie, panie, to wielkie miasto, można zginąć pod kołami! – rzekł szorstko, z wyraźną ironią. – I sto wozów da się w ruchliwy dzień naliczyć na tej drodze! – Carcassian zdawał się tak dumny z przytoczonej liczby, jakby tych sto wozów równało się co najmniej tysiącowi okrętów wojennych, jakie mogła wystawić znieawidzona Republika Wenecka.

– Dziękuję – odparł rycerz, dyskretnie spoglądając w górę. Tam jednak były tylko zamknięte okna, jakby widok Beatrycze był jedynie chorobliwym złudzeniem, mirażem powstałym pod wpływem słońca i kurzu. Nie pierwszy to raz, gdy nieomal zginął z powodu dziewczęcej urody...

W końcu dotarli do dwupiętrowej kamienicy zamieszkiwanej przez kupca. Niczym specjalnym nie wyróżniała się ona z szeregu, może poza jednym: w dwóch miejscach pozostały resztki farby po jakichś napisach, zapewne złośliwej treści. Carcassian załomotał w ciężkie, wzmocnione żelazem odrzwia, krzyknął na służbę. Zaraz ktoś wyjrzał przez okienko na piętrze, a po chwili drzwi się otworzyły i znaleźli się w ciemnej sieni. Kupiec odetchnął z wyraźną ulgą, ledwie przestąpili próg i masywne podwoje zamknęły się za nimi.

– No, najgorsze mamy chyba za sobą – rzekł. – Jeszcze chwila i wreszcie będę mógł odetchnąć, mości Filleganie. Bo to ciężar nieznośny, uwierzcie... – Carcassian rozluźniał się z każdą chwilą.

Rycerz postanowił wykorzystać sytuację:

– Napiłbym się czegoś – zasugerował. Znał bowiem dobrze ten gatunek człowieka, jakim byli kupcy. Po skończonej robocie powie taki: „Miedziaki w garść i wynocha”. Ani me, ani be, ani dziękuję, tylko fora ze dwora. Klasa średnia, psia ją mać. A jeszcze we łbach im się poprzekręcało i myślał taki jeden z drugim, że walnięcie parę razy mieczem i parę pergaminowych świstków trzymany w kufrze pod łóżkiem czyni go równym księciu Bawarii czy diukowi Normandii.

Carcassian w milczeniu i z wyraźną niechęcią skinął głową i poprowadził rycerza w głąb domu, po drodze cichym głosem wydając dyspozycje służbie.

Rozsiedli się w jednym z pokoi, urządzonego w typowym włoskim, mieszczańskim stylu, do którego Fillegan nabrał odrazy, kiedy niemal to samo zestawienie zobaczył w kolejnym domu, jakby odcisnięte z tej samej mennicznej prasy. Meble – oczywiście gedanijskie albo ikeańskie. Na ścianie albo kilim abbakański, albo grafika mistrza Klussaka, z nieodłącznymi końmi na pastwisku (zapewne artysta kochał te istoty miłością platoniczną i ślepą, bo z końską anatomią był na mocny bakier). Świece na stole osadzone w lichtarzu utrzymanym w stylu *rat deco*, czyli z trzymającymi miseczki wątlymi postaciami bardziej przypominającymi powykręcane artretyzmem szczury niż ludzi.

Dalsze oględziny przerwało wreszcie pojawienie się dzbana i kielichów, wniesionych przez starą służącą. Na widok rycerza uniosła brew w wyrazie dezaprobaty, postawiła naczynia na stole i skłoniwszy się Carcassianowi, wyszła z pokoju.

– No, to nielekkko tu macie z biskupami – zaczął Fillegan, gdy już spłukał pierwszy kurz – skoro na radzie miejskiej wymogli zakaz pasowania nieboszczyków...

Kupiec spochmurniał jeszcze bardziej. Bawił się swoim kielichem, wodząc palcem po krawędzi szkła.

– Do samego pasowania to by się tu niejednen florentczyk znalazł, signiore Fillegan – rzekł cierpko. – Rajców można kupić, dla nieboszczyka ojca uchwałę na jeden pacierz uchylić. Ale ojciec, świeć Panie nad jego duszą, z handlu suknem był niezadowolony, to i po cichu lichwą się trudnił. I jak przyszło co do czego, to się okazało, że jednak wcale nie tak po cichu, skoro wszyscy o tym wiedzą. A nikt tu nie zaryzykuje równoczesnego narażenia się rajcom i Kościołowi – ciągnął kupiec, całkiem już ponury. – Zwłaszcza Kościołowi, bo ten na lichwę cięty jak na mało co. I

jakby się sprawa wydała, to taki florentczyk życia już by w mieście nie miał, obywatelstwo odebrane, może by i do więzienia trafił albo na galery? Na szczęście Montepaschi mi was naraił w odpowiednią porę. – Westchnął, przysuwając sobie dzban z winem. Napełnił kielich i wypił zawartość jednym długim łykiem. – Chodźmy, panie rycerzu, chodźmy wreszcie, bo mnie to wyczekiwanie na szczęśliwy finał całkiem zjada. Kończmy, płaćmy i potem pijmy. Ja stawiam.

Fillegan z niechęcią wstał od stołu. Jeszcze by wypił kielich czy dwa.

– To gdzie delikwent, znaczy ojciec?

Carcassian wskazał podłogę.

– Tam.

Ruszyli w stronę wewnętrznego, ciemnego podwórca, gdzie ukryte były schody do piwnic. Jak spod ziemi wychynął Duendain z pochodnią i łuczywem. „Oj, będziesz ty wkrótce *mości Capodimonte*, będziesz” – pomyślał Fillegan z zazdrością. Duendain był niby młody wilk, gotów na wszystko, byle odnieść sukces.

– A jak zdołałeś utrzymać tajemnicę? – spytał kupca. – I co z pogrzebem?

Carcassian wzruszył ramionami, walcząc z zardzewiałym zamkiem osadzonym w grubych dębowych drzwiach. Ten stawiał opór, jakby od jego nieugiętości zależało czyjeś życie.

– A mogłem – odparł krótko. – Jakby od dochowania sekretu zależał los spadku w znacznej wysokości, też byś się wysilił i potrafił, panie Filleganie. Tyle że udziałowców w schedzie po rodzicielu zrobiło się więcej... – dodał z niewesołą miną. – Świat całkiem zeszedł na psy, nikt za darmo w język gryźć się nie będzie.

Przerwał, zaklął z irytacją, bo zamek nie puszczał.

– Tuż przed śmiercią ojca dogadałem się z zaprzyjaźnionym *padre* od świętej Kunegundy Patataj. Dał namaszczenie, dziś, jak wszystko dobrze pójdzie, da drugie, oficjalne. Krypta w kościele u niego też już wykupiona. Tylko spełnić synowski

obowiązek, spadek wziąć i... – Carcassian mocnym szarpnięciem odemknął drzwi i pierwszy zniknął w mrocznym wnętrzu.

Jak się okazało, zeszli do katakumb nie gorszych niż te watykańskie, tyle że ciaśniejszych. Spiralnymi schodami podążali coraz niżej, mijali drzwi wiodące do tajemnych pomieszczeń, omiatali wilgotne ściany z pajęczyn, depcząc w ciemnościach nieostrożne gryzonie, a nawet truchło jakiegoś nietoperza, który znalazł w tych podziemiach sen wieczny zamiast zimowego.

Śmierć tego ostatniego przywiodła Fillegana do pewnej ponurej konstatacji. Wciśnięty pomiędzy prowadzącego kupca a Duendaina był właściwie bezbronny, skazany na ich łaskę. A co będzie, jeśli ci dwaj zechcą – po dopełnieniu ceremonii – w tymże ciasnym korytarzyku zlikwidować niewygodnego świadka? Pomacał rękojeść miecza, próbując sobie dodać otuchy, ale przybyło jej tyle co nic, a za drugim sięgnięciem trafił nie na miecz tylko na szorstką ścianę i zdarł sobie skórę z knycki.

Byli już chyba w połowie drogi do ostatniego kręgu piekieł, gdy sukiennik zatrzymał się wreszcie przed kolejnymi drzwiami. Oświetlił je, westchnął ciężko i odwrócił się do schodzących za nim.

– Duendain, zostań tu – nakazał chłopakowi. – A my chodźmy, panie, miejmy to już za sobą. I... – zawahał się na moment, przez jego twarz przemknął chmurny cień, choć może była to tylko iluzja spowodowana chybotaniem płomienia świecy – nie dziwcie się niczemu. My tu, w mieście, łatwego życia nie mamy.

Zdało się, że w słowach Carcassiana pojawił się tłumiony jęk. Kupiec sięgnął po kolejny klucz, po czym pchnął drzwi.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia przypominającego kryptę, choć raczej wyglądem niż zapachem, bowiem takiego smrodu, jaki tu panował, Fillegan nigdy dotąd nie doświadczył – a miał stosowne porównanie, bowiem pośród rozlicznych peregrynacji mógł pochwalić się i tą, która zawiodła go na paryski Pere Lachaise,

gdzie niejedną noc spędził w towarzystwie flecisty Chopininiego. Gruźlica odebrała muzykowi życie, a procesująca się o majątek część rodziny (czująca się pokrzywdzoną w rozdziale tych kilku solidów, które zostały po zmarłym) wzięła serce w zastaw, póki ich roszczenia nie zostaną zaspokojone. Choć więc flecista spoczywał w krypcie razem ze swoim ukochanym instrumentem, to jęki dobiegające z trumny zdawały się świadczyć, że wciąż mu czegoś brakuje do spokoju wiecznego odpoczynku.

Pomieszczenie było niemal puste, choć kiedyś musiało tu leżakować wino w beczkach, bo wciąż widać było ślady i podłużne wyłobienia w posadzce pod ścianami. Pośrodku stał jakiś mebel, w chybottliwym świetle pojedynczej świecy przypominający łożo. Dopiero gdy wzrok przyzwyczał się do półmroku, a może po prostu kupiec zapalił odpowiednią liczbę świec na ścianach, Fillegan pojął, że ogląda nakrytą białym płótnem... trumnę na katafalku.

Carcassian przeżegnał się zamasyście i zsunął materiał z trumny. Potem targnął wieko i odstawił je na bok, pod ścianę.

Rycerzowi, który pochylił się ku jej wnętrzu, zaparło dech. Miedziana skrzynia niemal po brzegi wypełniona była płynem o ciemnej orzechowej barwie, ustałym w nieruchomą powierzchnię. To stąd roznosił się ów koszmarny zapach. Nieboszczyk, nawet jeżeli spoczywał w środku, nie był widoczny.

– Trzeba go wyjąć. – Fillegan odstał pod ścianę, gdzie wonie były nieco słabsze albo też wentylacja lepsza. – Nic żeście nie przygotowali? To jak mam wykonać swoją robotę?

Carcassian miał minę długo bitego psa, który w dodatku wie, że jest winny.

– Wybaczcie, panie, ale dlatego nie uprzedzałem – stęknął. – Ojciec chciał zostać pasowany, zanim całkiem się rozejdzie, ale zmarło mu się nieoczekiwanie szybko, ta sprawa z lichwą nie pozwoliła mi spełnić jego woli od ręki... Znajomy,

który kiedyś popadł w podobne tarapaty, doradził mi cudowny konserwant, ale składniki chyba zmieszałem w złych proporcjach – kupiec zasepił się i zamilkł.

Fillegan podszedł do trumny i przyjrzał się zawartości. Nieboszczyk nadal spoczywał w głębinach tajemniczego roztworu, z których nie wystawał nawet czubek nosa.

– Będiesz pasował, panie rycerzu? – Carcassian wydawał się zaniepokojony milczeniem swego gościa.

Fillegan z niechęcią skinął głową, wciąż obchodząc trumnę ze zwłokami. „Lepiej bym zrobił – pomyślał – wracając do Wake i obdarzając szlachectwem zabite przez Ayermine’a wielbłądy”.

Wizja wielbłądów-rycerzy rozrzewniła go. W kącikach oczu poczuł łzy... A może to nie wielbłądy, tylko wspomnienie rodzinnego Wake? W każdym razie chwilę zeszło, zanim przypomniał sobie o pytaniu Carcassiana.

– Jak tylko go wyjmemy. A z dokumentami to co, pewnie będziesz chciał daty wstecznie stawiać, co? – Całkiem wrócił do rzeczywistości, przestawiając się na handlowe myślenie. – Bo do przestępstwa się przecież nie przyznasz...?

Sukiennik skinął głową.

– Czy to moja wina, że rajcy pozamieniali się na łby z baranami? – odparł, ciężko wzdychając. – Jak świat światem, kupowało się szlachectwo, choć raczej za życia, nie po śmierci. Inna sprawa, że, też jak świat światem, kupiec był kupcem, a włościanin włościaninem, jeden drugiemu rzadko wchodził w paradę i dopiero te nowe czasy wszystko powywracały do góry nogami. Sami widzicie, panie, co to się porobiło – gorzko rzekł Carcassian. – Heretyka z grobu wykopać tylko po to, żeby go ceremonialnie na stosie spalić wolno, a nawet zaleca się, tak gadają biskupi. A zwyczajnego, próżnego i majątnego, kupca nie wolno. I gdzie tu logika?

Wzruszył ramionami, machnął z rezygnacją ręką.

– No i przyjdzie mi, jak już zrobicie swoje i bezpiecznie znikniecie z widoku, odkryć schowane w skrytce papiery, że ojciec dobre dwa lata temu został rycerzem i szlachcicem, tylko z jakichś tajemniczych powodów albo starczej demencji zapomniał i domagał się tego w testamencie ode mnie. Urzędnicy w magistracie nie takie dziwa widywali, więc za parę florenów przymkną oko, i wtedy obaj z ojcem wreszcie odetchniemy.

Fillegan wciąż przypatrywał się trumnie. A precyzyjniej rzecz biorąc, usiłował przebić spojrzeniem ciemną powierzchnię płynu. Pobieżna analiza ujawniła jedynie ogromnego pajaka, który utopił się przy krawędzi i sterczał groteskowo z odnóżami wystającymi ponad powierzchnię. Nieboszczyka nie udało się wyłowić spojrzeniem.

– A on tam chociaż jest? – spytał z powątpiewaniem, odsuwając się nieco od skrzyni, którą od wewnątrz, na granicy poziomu wypełniającej ją cieczy, pokrywały jakieś zielonoszare wybrzuszenia i liszaje. – Papiery wystawić nie problem, ale co do ramion, wolałbym wiedzieć, że je posiada, rozumiesz, Carcassian...

Kupiec wzruszył ramionami.

– Przecież i tak go pochowam. Panie, na upartego, potrzebny jest mi papier, resztę czynię dla spokoju ducha... Ale ma ramiona – rzekł uspokajająco, tonem, który tylko potwierdził obawy Fillegana. – To znaczy, miał jeszcze jakieś dziesięć dni temu – dodał, zagryzając wargę. – Zresztą, jeśli wierzyć w to, co się wyrwało Duendainowi podczas tej zawieruchy przy gospodzie, jesteście magiem. Może byście przywrócili ojca do stanu używalności? Zapłacę. Lepiej by się...

\* \* \*

**R**ycerz nigdy się nie dowiedział, co kupiec miał na myśli. Przepadła też niebywała wprost szansa zdarcia z niego ostatnich pasków skóry, odebrania mu jego krwawicy, czyli wyłuskania wszelkich zaskórniaków. O, Fillegan nie byłby gorszy w sztuce uprawiania magii od innych. Miałby takie same koszty i wyniki. A sukiennik

uwierzyłyby we wszystko. Oczyma szczerzej wiary dojrzałyby elefanta tam, gdzie człek niezainteresowany z trudem zauważyłyby mrówkę.

Jak wszystkie piękne aspekty rzeczywistości ten cudowny sen został zdradziecko przerwany krzykami i łomotami, jakie rozległy się gdzieś ponad ich głowami w czeluści korytarza wiodącego do krypty.

Carcassian zbladł i szeroko otworzył usta, jakby łapiąc oddech. Fillegan, złorzecząc, położył dłoń na rękojeści miecza. Jeżeli to zbóje, zamierzał walczyć. W ciasnym pomieszczeniu można się było napaści opierać długo, czas wystarczający, aby hałasy sprowadziły straż miejską. Albo chociaż jakiegoś zaniepokojonego sąsiada. Założywszy, że kupiec miał takich, którzy nie zechcą przyłączyć się do rabunku.

– Da się te drzwi zamknąć od wewnątrz? – Rycerz przysunął się do nich i lustrował je uważnym spojrzeniem. Metalowe pasy, tworzące kratę, były zbyt rzadko ułożone, ale – na Boga! – przecież był to skład z winem, nie warownia. Nawet nie prawdziwa krypta zabezpieczona przed cmentarnymi hienami.

Kupiec potwierdził jego obawy.

– Nie, panie, lepiej będzie się nam bronić w korytarzu. Tam, razem z chłopakiem, trochę ich natniemy, zanim zdołają się nam dostać do skóry.

Duendaina jednak w korytarzyku nie zastali. „Poszedł na górę, sprawdzić” – pomyślał Fillegan. Sam w każdym razie by tak postąpił. Jeżeli nowina okaże się dobra, chłopak mógł się spodziewać, że coś mu skapnie, nawet od takiego sknery jak jego pan. Jeżeli zła – łatwiej uciec.

Tymczasem na schodach rozległy się głosy. Rycerz mocniej ujął miecz.

– Tu są, panowie! – rozległ się nieco przytłumiony głos Duendaina. – Hej, panie Carcassian, panie rycerzu, mamy niezapowiedzianych gości! Odwiedzili nas strażnicy miejscy!

Wściekły Fillegan opuścił miecz.



– Psiakrew! Tych tylko nam brakowało! – zaklął ze złością. Oczyma wyobraźni już dostrzegał siebie w tutejszych kazamatach. W jednych kajdanach kupiec-przestępca, w drugich rycerz-odszczerpieniec. Piękne towarzystwo. Będą mogli sobie razem przez najbliższych parę lat zgłębiać karolińskie korzenie rodu Wake oraz tajniki hodowli wielbłądów!

Stąpienie nasiliło się i wkrótce w świetle świecy niesionej przez idącego przodem Duendaina pojawił się oficer straży miejskiej, a za nim dwóch jego ludzi. Wszyscy razem weszli do piwnicy, skrzywili się, gdy dotarł do nich obrzydliwy fetor.

Na twarzy Carcassiana wyraźnie widać było niepewność i strach. Fillegan zaś poprzysiągł sobie, że jeżeli wyjdzie cało z tej historii, wróci kiedyś do Wake i wzniesie przydrożną kapliczkę z wizerunkiem wielbłąda. Mogą mieć swoje kapliczki ze świątkami prości wieśniacy, mogą mieć swoje święte dęby druidzi, to czemu nie miałyby powstać kult dromaderytów wędrownych? Może nawet da się na nim zarobić parę groszy?

– Niccolo Carcassian, syn Bartolomea, sukiennik? – zaczął oficjalnym tonem oficer, podczas kiedy jego ludzie stanęli po obu stronach drzwi i zamarli w niemym bezruchu. Gdy kupiec skinął głową, oficer tym samym beznamytnym tonem kontynuował: – Nazywam się Gucci. Dotarł do nas donos, że wspólnie z ojcem lichwę uprawiacie. A lichwa zakazana. I rada dzielnicy przysłała mnie, by to wyjaśnić.

Rycerz dyskretnie odetchnął. Kupiec za to, niby legendarny chamalajion, zmienił się na twarzy, poczerwieniał mocno.

– Ani ja, ani mój oj... – tu urwał, dotarło do niego, jak niebezpiecznie jest powoływać się na zmarłego. – Lichwa jest zakazana, i ja to wiem – zakończył więc nieporadnie.

Dowódca straży rozglądał się po pomieszczeniu.

– W istocie, jest zakazana prawem, ponadto grzech to ciężki. – Jego spojrzenie omiatało puste ściany, aż wreszcie zatrzymało się na trumnie. – Dlatego rada wysłała

nas, by to sprawdzić. Nikt na razie nie formułuje zarzutu, rozumiesz, Carcassian? – Gucci podszedł do trumny, spojrział na nieruchome lustro zgęstniałego płynu. – Was, kupców, w ogóle raczej dziwne trzymają się obyczaje, zmuszające do kontroli. Trumnę wypełniłeś zepsutym winem? Po co?

Fillegan z Carcassianem wstrzymali oddechy. Tymczasem oficer nachylił się i wyciągnął palec w stronę trumny, jakby chciał skosztować tego, co uważał za wino... ale dostrzegł pajaka, odchylił się ze wstrętem i chwyciwszy za miecz, próbował go wyłowić. Wreszcie mu się to udało, gdy zewłok owada znalazł się na czubku ostrza, Gucci wyjął miecz z płynu.

– Na sto głów baranich! – Spojrział w zdumieniu na głównię miecza, która zaczęła się dymić. Machnął ostrzem, rozwiewając wokół smużki dymu. – Co wy w tej trumnie macie, kwas jakiś?

– Skwaśniało mocno – rzekł sukiennik słabym głosem. – To może ja pójdę na górę po jakąś rekompensatę, panie oficerze?

– No myślę! – warknął oficer. Długą chwilę w zamyśleniu przyglądał się trumnie, wreszcie odwrócił wzrok w stronę ignorowanego dotąd Fillegana.

– Skąd to drogi prowadzą do naszej Republiki? – zagadnął. – Bo z wyglądu wnoszę, żeście nietutejszy?

– Z Wake, w Anglii – odparł rycerz, nieco zdziwiony, że Gucci jednym spojrzeniem rozpoznał w nim obcego. Ale, jak widać, strażę zachowywały tu należytą republikańską czujność. – Trzeba poznawać świat, nieprawdaż?

– A pewnie. – Gucci z uznaniem skinął głową. – Nasza Florencja w tym świecie to prawdziwa perła, warta dostrzeżenia. Powiadają, że zobaczyć i umrzeć – oficer stuknął pozostałością miecza w podłogę – mniemam, że z zachwytu.

Tymczasem na schodach rozległ się straszliwy rumor. To Carcassian wracał w pośpiechu na dół, nie bacząc, że może sobie połamać nogi.

– No jestem – rzekł, powstrzymując sapanie. W rękę trzymał sporej wielkości mieszek. Podał go oficerowi. Ten niemal niezauważalnym, wypracowanym gestem wsunął go w kieszeń kaftana.

– To teraz słuchaj – zaczął z życzliwością Gucci. – Nas tu dzisiaj nie było. Przyjdziemy jutro, aby z zaskoczenia sprawdzić, czy wasza rodzina trudni się lichwą czy nie. Jak coś znajdziemy, na przykład kompromitujące papiery, sam sobie będziesz winien, pojmujesz?

Kupiec ponuro skinął głową.

– Zacznę hodować pająki, jak już nie będę czym miał płacić ła... to jest podatków.

Gucci po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko.

– Nie polecam. Nasze lochy mimo wszystko bezpieczniejsze od kościelnych. – Razem ze swoimi ludźmi oraz odprowadzającym ich Duendainem zniknął w korytarzu.

– Montepaschi twierdził, żeś wizjoner, co to w przyszłość sięga jak ja, nie przymierzając, po jabłko – rzekł sarkastycznie Carcassian, odczekawszy, aż kroki Gucciego i jego ludzi ucichną. – Szkoda, że tego najazdu nie zdołałeś przewidzieć, nerwów i majątku mi zaoszczędzić. Przyszli po łapówkę. I jutro też wezmą do kieszeni, psiakrew!

Fillegan wzruszył ramionami. Nie powiedział kupcowi, że im dalej w przyszłość, tym wizja jaśniejsza, a jak z tego wynika, szanse przewidzenia czegoś na dzień naprzód oceniał jako zerowe.

– Nie wszystko da się wyłowić z rzeki przyszłości, tyle śmiecia niesie. Całkiem jak wasze Arno – odparł metaforycznie. – Przeoczyłem ich, fakt. Widzę za to powódź, obracającą w niwecz to miasto.

Kupiec roześmiał się ponuro.

– No, strasz mnie potopem. Wiesz chociaż, kiedy? Może bym się w porę wyniósł?

Rycerz udał, że się koncentruje. Może uda się wyłudzić jeszcze parę groszy?

– Widzę, że miasto nawiedzi straszliwa powódź. Mury będą upadać, freski odklejać się od ścian, wielka tragedia spadnie na ludzi. Ale moje proroctwa nie mają daty. To może być dziś, jutro albo za tysiąc lat.

– Jak nie potrafisz podać daty, to psu na budę twoje przepowiednie – wycedził z gryzącą ironią Carcassian. – Arno wylewa co paręnaście lat, odkrycia nie dokonałeś. Wracajmy do ceremonii, w końcu po to tu przybyłeś.

Fillegan odwrócił się w stronę trumny wypełnionej zagadkowym płynem.

– Wiesz co, kupcze? – przyznał wolno – jakoś nie czuję się na siłach dzisiaj pasować. Zjadłbym coś, w gospodzie posiedział...

– Strach odpędził... – zjadliwie dociął sukiennik. – I zwiął czym prędzej, psia twoja mać.

– Prosty rycerz ze mnie. Kłopoty mi niepotrzebne – odparł szczerze Fillegan. – Lepiej spać pod gołym niebem, niż mieć nad głową sklepienie więziennej celi.

Carcassian spojrział mu prosto w oczy, przetarł dłonią spocony kark.

– Dorzucę jeszcze trochę grosza, bo co mam robić – rzekł ochryple. – Niech będzie moja strata, dam trzydzieści złotych.

– Trzydzieści? – obruszył się rycerz. – Trzydzieści to sobie...

– Trzydzieści złotych florenów – uciał dyskusję kupiec, sięgając pod kaftan, żeby się podrapać. – Słyszę Duendaina, przy nim nie będę dyskutować. Bierz, co daję, albo idź precz.

Rycerz westchnął z niechęcią.

– I pomyśleć, że za chwilę staniemy się sobie równi. Ja, potomek cesarów w bocznej linii...

– Bardzo bocznej – warknął sukiennik, spoglądając na chłopaka, który wszedł do środka. – Nie marnujcie czasu, panie. Cały dzień dziś tracę na załatwienie tej sprawy, interesu pomocnik pilnuje, a jak palnie jakąś głupotę? To jeszcze bardziej stratny będę... Za dużo tego wszystkiego na mojej głowie.

– A jak zamierzacie to zrobić? – zainteresował się Fillegan. – Bo po tym, jak Gucci stracił miecz, to ja wolę być daleko stąd, kiedy będziecie nieboszczyka ojca przygotowywać do ceremonii.

Carcassian uśmiechnął się lekko. Wszedł na chwilę z krypty, wrócił z niewielkim oskardem. Podszedł do przeciwległej ściany i przyklęknawszy, kilkakrotnie silnie uderzył w podłogę, odsłaniając mroczną czeluść.

– Świętej pamięci ojciec uważał, że nie zaszkodzi ostatnie, puste, pomieszczenie zamurować. Tam spuścimy konserwant.

Wspólnymi siłami przechylili trumnę, uważając, by ani kropla nie prysnęła w ich stronę.

– Czyńcie swą powinność, rycerzu – wystękał Carsassian, gdy opróżniona z płynu trumna spoczęła z powrotem na katafalku. Dołączył do Duendaina, który za drzwiami opróżniał żołądek.

Również Fillegan z trudem panował nad skurczami trzewi. Nieboszczyk znajdował się wciąż w stanie pozwalającym na rozpoznanie w nim majątnego kupca. Zachował ludzkie cechy, w rysach pociemniałej twarzy wciąż dostrzec można było godność i pewien majestat. Lecz woń, jaką wokół siebie roztaczał, była gorsza od zapachu piekielnej siarki.

Rycerz uniósł miecz w drżącej ręce. I nadał Bartolomeo Carcassianowi, kupcowi za życia, szlachectwo i wprowadził do stanu rycerskiego w niebie – chociaż nie bardzo wiedział, na co mu tytuł i zaszczyty tam, gdzie ponoć wszyscy są sobie równi. Po czym wszedł z krypty i dołączył do Carcassiana i Duendaina, którzy akurat przeżywali nawrót szarpiących sensacji.

– Z papierami to już jakoś pójdzie – rzekł kupiec w chwilę później, ocierając usta. – Duendain, zaprowadź pana rycerza na pokoje, ja tylko pogaszę świece i dołączę.

\* \* \*

Pełna sakiewka mile ciążyła w kieszeni kaftana, a nogi nieco zawodziły Fillegana w marszu, bo na sam koniec gospodarz okazał się człowiekiem niezbyt może hojnym, ale i nie skąpym, wina dla uleczenia żołądkowych boleści nie pożałował, a też do jedzenia małe co nieco się znalazło.

Jakoś wyplątał się z miejskiego kwartału i dotarł do bramy, a nawet bez trudu przekroczył ją, opuszczając Florencję, odprowadzany leniwym spojrzeniem strażników zagłębionych w żywej dyskusji na temat wdzięków pewnej różanolicej Floriny.

Z prawdziwą ulgą opuszczał to miasto. Być może warto je było zobaczyć i umrzeć, ale Fillegan miał w tej kwestii odmienne zdanie: lepiej go nie zobaczyć i żyć. A to wcale nie wydawało się takie pewne, wolał więc nie czekać, aż uszczęśliwiony Carcassian dotrze do magistratu.

Zastanawiał się nawet, czy nie zakupić za część florenów Bucefała Drugiego, jakiegoś wiernego karusa, który w ostateczności gotów będzie oddać życie za swego rycerza. Ale wciąż nie mógł zdobyć się na rozstanie z nowiutkimi złotymi monetami. Ostatecznie, do Pistoii droga niedaleka, letnia pogoda dopisywała, wino przyjemnie szumiało w głowie...

Trapiła go jedynie myśl, że fatalnie przegapił okazję do wzbogacenia się. Otóż, będąc już dość daleko od miasta, całkiem nie w porę, uświadomił sobie, że paryscy akademicy mogliby wysupłać parę groszy za recepturę tego tajemniczego konserwantu, w którym sukiennik pławił swego ojca. Zaiste niezwykłą substancję sporządził kupiec, skoro ciało nieboszczyka, ze dwa tygodnie w niej spoczywające, lepiej się miało od główki miecza mającej kontakt z ciecżą ledwie przez chwilę. Kto

wie, może dałoby się znaleźć jakieś zastosowanie tego wynalazku w sztuce wojennej albo przemysłowej?

– Psia! – zaklął. Nie, nie wróci do miasta. Carcassian może trafić na zły humor urzędnika w magistracie albo Gucci coś odkryje, albo Kościół znajdzie jakiś pretekst do kasaty majątku... Nie, lepiej nie cofać się z obranej drogi. A kupca trzeba zachować w pamięci, skontaktować się za jakiś czas, kiedy sprawa przyschnie. Tylko czy ten będzie pamiętał, gdzie w recepturze Montepaschiego popełnił błąd? Bo inaczej sekret tej niezwykłej substancji, szybciej zjadającej miecze niż ludzkie ciało, może zaginąć na wieki!

\* \* \*

Toskania słynie z łagodnych, lesistych pagórków, pośród których wiją się drogi tej krainy mlekiem i miodem płynącej. I kiedy trakt wiodący do Pistoii zakręcił wokół jednego z takich wzniesień – może nieco bardziej imponującego od pozostałych, rozsianych gęsto po okolicy, zwieńczonego odsłoniętą, białą lśniąca w słońcu skałą poroższczepianą niby korona... – Fillegan poczuł nieprzepartą ochotę ułożenia kilku strof wiersza na cześć złotych florenów bezpiecznie spoczywających w sakiewce. Poetyckie frazy jęły się unosić nad jego głową niby aureola, kontrapunktowane słodkim cuk, cuk ptactwa... kiedy naraz posłyszał dobiegające z tyłu głośnie szelesty.

Odruchowo chwycił się za kieszeń kaftana. Tym razem miałby co oddać w imię świętego spokoju i dla wspomnienia ubogich, jednak pokojowe myśli ustąpiły nagle brutalnej chęci mordowania każdego, kto zechciałby mu odebrać z taki trudem zdobytą zawartość sakiewki.

Dopiero po sekundzie dotarło do niego, że zbójce tym razem mogą chcieć nie jego florenów, lecz życia! Mógł ich nasłać Carcassian, ten zaś miałby motyw. Mówiąc wprost: bardzo dobry motyw. Lasy i bagna Europy pełne były milczących motywów.

A trakt, jak zwykle, był pusty. Fillegan wyjął miecz, spodziewając się najgorszego. Nie uciekał, bo pamiętał, że poprzednim razem zbóje odcięli mu drogę z obu stron, co pewnie było tutejszym obyczajem. Już wolał potykać się na ubitej ziemi.

Krzaki szeleściły coraz głośniejsze po lewej stronie. Wreszcie wyłonił się z nich... zziębnięty Duendain.

– Biegłem na skróty, byle was dogonić, panie – wydyszał.

– A ty tu czego? – zdumiał się Fillegan, wsuwając miecz do pochwy, bo raczej należało wątpić, aby kupiec wysłał chłopaka w roli mordercy. – Znowu mnie straszysz. Carcassian zapomniał wypłacić mi premię? Przegapił coś w papierach? A może cię wygnał? No, tego się należało po nim spodziewać – dodał z ironicznym uśmiechem. Tak, o kupcach miał wyrobione zdanie...

Duendain skrzywił się w grymasie nieskrywanej złości.

– Sam odszedłem. Przy nim do niczego nie dojdę, tylko się wrzodów i gonki nabawię. Chcę zostać rycerzem i magiem, panie, jak wy. Chcę wędrować z wami – chłopiec spojrzał z nadzieją na Fillegana.

Rycerz roześmiał się głośno, plasnął dłońmi o uda.

– A to dobre – rzekł, gdy już się uspokoił. – Pieniądze masz? Nie masz. No to cię nie pasuję. Zresztą – dodał, ironicznie przyglądając się wciąż zasapanemu chłopakowi – młody jesteś, możesz poczekać. A ja wędruję samotnie. Lepiej się przyłącz do jakiegoś handlarza winami albo terminuj u medykusa.

Nie oglądając się, ruszył dalej. Duendain towarzyszył mu niby cień, pozostając o dwa kroki w tyle. I tak zmierzali w stronę Pistoii, póki za nimi nie rozległ się głośny turkot wozów. Rycerz zszedł na sam skraj traktu, obejrzał się na młodziaka – ten jednak zniknął, musiał wskoczyć na jeden z wehikułów. Kolumna sześciu wozów wkrótce zniknęła za zakrętem.



„No i z Bogiem” – pomyślał Fillegan. Nie potrzebował towarzysza darmozjada. Miło było posłuchać nieprzerywanego niczym gadulstwem śpiewu ptactwa, ułożyć jakiś rym... pomacać trzydzieści złotych monet przez kaftan... dojrzeć do decyzji zmarnowania paru groszy na jakieś jadło...

– Nie jesteście aby głodni, panie? – spytał Duendain, odklejając się od pnia drzewa, za którym się ukrywał, czekając, aż rycerz pokona zakręt. – Bo jakby co... – Szybkim ruchem zza pleców wyciągnął upieczonego kurczaka.

Fillegan odmówił gniewnym ruchem głowy, wściekły, bo chłopiec zmaterializował się ze smakowicie pachnącym mięsiwem niby diabeł czekający, aż rycerzowi zacznie kruczeć w brzuchu i będzie gotów podpisać cyrograf.

– Jedzcie, panie, bo się zmarnuje. Sam nie dam rady. – Chłopak ponownie podsunął pieczone w jego stronę.

– No, jakby się miało zmarnować, to owszem. – Rycerz w podzięcie skinał głową i urwał soczyste od tłuszczu udko. Zaczął jeść. Nigdy nie miał zbyt silnej woli. A jeszcze sobie pogłoduje. To akurat było proste do przewidzenia, nie wymagało żadnych proroczych wizji.

– Sami widzicie, panie, na giermka się nadam – rzekł Duendain po chwili, ocierając usta. – I wiem takie rzeczy, że ho!, niejednen by chciał znać podobne sekrety. Na przykład Carcassian ma skrytkę w suficie. Jakby co...

Fillegan spojrział na niego niby strofująco, ale bacznie nadstawiając ucha.

– Prawdziwy szlachetny rycerz nie rozmawia z pełnymi ustami... – rzekł jednak.

– Ja naprawdę umiem nie tylko kraść kury – odparł (z pełnymi ustami) Duendain. – A rycerzem jeszcze nie jestem – dodał przytomnie. – Nie to, co wy, panie...

Filleganowi kęs kury stanął w gardle.

– Będiesz pościć przez trzy dni – zarządził, pokonując dławienie. – Kandydaci na rycerza muszą przejść ciężkie próby.

Duendain wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać. Trzymał w ręku resztki kurczaka i nie wiedział, co z nimi zrobić.

– To mam zacząć od zaraz?

Rycerz zaprzeczył nieznacznym ruchem głowy.

– Zaczynasz od jutrzejszego świtu. A na razie – popatrz na piecyste w ręku – zadbaj, dobry giermku, o moje jutrzejsze śniadanie. Do Pistoii droga niedaleka, ale zapewniam, o pustym żołądku jestem niezdolny i rankiem droga będzie się nam dłużyć niczym wyprawa Marco Polo.

Duendain nie czekał na dalszy ciąg prorocztw swego nowego pryncypała, już biegł w stronę kolejnych nadjeżdżających wozów, które turkotały gdzieś za zakrętem, jeszcze niewidoczne. Dotarło do niego, że na kradzionych kurczakach i postach się nie skończy, że trafił z deszczu pod rynnę.

Ale będzie to ciekawe życie. Taką przynajmniej miał nadzieję.